



Zofia Grzesiak

ZOFIA GRZESIAK, autorka publikowanej tu prozy, urodziła się w 1914 r. na Wołyniu, gdzie też spędziła młodość. W latach 1942–45 wraz z mężem i córką przebywała w hitlerowskim obozie pracy na terenie Austrii. Do Polski powróciła w maju 1945 r., osiedlając się z rodziną w Pile. Od października 1952 r. mieszka w Lublinie. Pisać zaczęła 27 lat temu, z wewnętrznej potrzeby zanotowania tego, co widziała, co przeżyła – bez zamiaru „bycia literatem”. Od tego czasu złożyła „w szufladzie” prawie 17 tys. stron maszynopisu w formie notatek, impresji, opowiadań i powieści, których akcja rozwija się m.in. w wiejskim i małomiasteczkowym środowisku kresowych Żydów, Polaków i Ukraińców. Odkryta zaledwie pięć lat temu, proza ta chwali się oryginalnym tokiem narracji, bogactwem i autentyzmem języka, realistyczną obserwacją obyczajową i psychologiczną. W roku przyszłym ukaże się pierwsza książka Z. Grzesiak, przygotowana redakcyjnie przez PIW. Będzie to powieść „Między Słuczą a Horyniem”. Tekst publikowany w „Kamieniu” stanowi fragment innej powieści („Przekleństwo posagu”), której maszynopis znajduje się jeszcze w posiadaniu autorki. (k)

Ten umarł, ta zwariowała tamtego zabili w więzieniu

W tym czasie było jeszcze kilka zdarzeń we wsi. Kiedy świat już nabrzmiewał niczym ropień, a gazety przynosiły coraz groźniejsze wiadomości, jakiś amerykański filantrop zaczął przysyłać wiejskim dziewczętom po trzysta, po pięćset dolarów, zależy jakie która miała szczęście i w jakim nastroju był ów bogacz w tym dniu, lub czy jego szlachetne oko dostrzegło jej imię na liście, co nie wiadomo jakim cudem zawędrowała na jego biurko. Otóż wiejscy Żydzi chodzili wprost upojeni jak dobrym winem z faktu tego zdarzenia i wzmógł się też ruch w kręgu faktorskim.

Wzmogły się też marzenia, aż się kłębiło w dziewczęcych głowach od rojeń i planów. Niemal każda spodziewała się listu, w którym nieznany bogacz napisze, że wysłał upragniony czek.

Mirele z pobliskiej wsi dostała trzysta dolarów, Roza, córka Kresi nieboszczki, pięćset. Jakby ów filantrop był prorokiem Eliaszem i wiedział, że Mirele jest młoda i bardzo ładna, że wystarczy dla niej trzysta dolarów posagu, a Roza, choć ma takie moderne imię, ale za to ma twarz jak starego świętej pamięci Szymela u bałaguty kobyły, do tego dwa przednie zęby, które nie pozwalają domknąć ust jak źle dopasowane zawiasy.

Wiejscy Żydzi czekając w szabes na dziesiątego Żyda, bez którego nie można było odprawić porannego nabożeństwa, roztrząsali, z jakiego źródła płyną te pieniądze. Jedni byli zdania, że miejscowy rabin przebywający obecnie w Ameryce rzucił jakieś słowo wśród tamtych dostojników na korzyść naszych biednych dziewcząt. Przecież on bojele nad ich nieszczęsnym losem, że już powinny dawno powychodzić za mąż i rodzić dzieci, a nie mogą, bo nie mają pieniędzy na posag. Drudzy twierdzili, że ten filantrop musiał być nielichym

grzesznikiem i może przed śmiercią pragnie darowizną grzechy od Boga wykupić, oddając cały swój wypracowany w sobotę dochód na jałmużnę, gdyż tam w tym złotym kraju, w tej Ameryce, nie ma tylu krążących z domu do domu żebraków, jak u nas.

Niedługo wprawdzie trwała ta hossa z amerykańskimi czciami, jedynie kilka dziewcząt miało szczęście, a reszta została przy swoich marzeniach, ułatwiających im tylko spędzenie bezsensnych nocy. Nawet Zulenek, leżąc przy swoim zniemawidzonym mężu w łóżku, syta tłustego jadła i różnych łakoci, przewracała się z boku na bok i prowadziła w myślach rozmowę z cieniami swoich rodziców. – Czemuście nie poczekali? Byłam przecież jeszcze taka młoda. Może byłabym jedną z tych wybranych, których imię znalazło się na biurku tego dobrego filantropa? Pamiętasz, mammo, ten zimowy wieczór, kiedy była śniegowa zawieja, a wiatr trząsał oknami, że mało szyby nie powylatywały?! W naszym domu stanął człowiek. Był późny wieczór, a ten młody gość zjawił się nagle, jakby go ta wichura przyniosła. Pamiętasz, mammo? Ten obcy prosił nas o nocleg. Pościeliłaś mu na kanapce pod piecem, by mu było ciepło. W czasie rozmowy z nami przyglądał się mnie swoimi szczerymi oczami, a ja jemu. Podobał mi się i odniosłam wrażenie, że moja twarz jemu też nie była obojętna. Rano, gdy się wichura nieco uspokoiła, poszedł, a ja z tobą, mammo, pamiętasz, zastanawialiśmy się, czy żonaty, czy bogaty? Otóż, mammo, wkrótce wrócił po raz drugi i ożenił się z Mirele, która dostała od dobrego filantropa ten błogosławiony, czy przeklęty posag. Na pewno powiesz, mammo, że był przeznaczony dla Mirele. Nieprawda mammo, był i dla mnie przeznaczony, gdybyś była trochę tylko poczekala i moje nazwisko

byłoby się znalazło na amerykańskim biurku i gdybym dostała ten czek na ten błogosławiony, czy przeklęty posag...

W tym czasie oprócz Mirele wyszła też za mąż córka ryżego Jankla, wyszła za wdowca. W owym czasie dziewczęta z mojej wsi wychodziły za mąż jak nie za wdowca, to za rozwodnika. Minęły te czasy, kiedy we wsi roilo się od żydowskich panien z przedmikołajewskiej wojny. Tamte panny były rasowe, jedna w drugą „pierwszy sort”. Dobcie, Szymela bałaguly córka, gdy szła w swojej niebieskiej w czerwone pasy sukni, poszytej z matczynej chusty przywiezionej przez Szymela jako okup za noc po powrocie jego żony Chany z mikwy – aż ziemia drżała pod stukotem jej obcasów. Choć Dobcie była córką biednego bałaguly, żadnemu szadchenowi [faktorowi] nie przeszłoby przez głowę, by swatać jej wdowca czy rozwodnika. Każda jedna panna, a było ich sporo, powychodziły za mąż za kawalerów. Niestety, te powojenne jakby nie powyrastały, każda jedna jest jakby sztachnięta, jakby ukrócono jej miarę.

W ostatnich kilku latach, kiedy Hitler się pienił przed zachystującymi się radością Niemcami, przedstawiając im swoją wizję przyszłych Niemiec, nasze żydowskie dziewczęta wychodziły za mąż jedna po drugiej. Kahalny szadchen miał pełne ręce roboty. Z zatkniętymi za pas połami swej wytartej kapoty jeździł, chodził, szperał i dopasowywał. Odwiedzał chore żony, by się zorientować, ile czasu trzeba będzie poczekać na świeżo upieczonego wdowca, dla którego w swoim rejestrze już miał dziewczynę, a przecucie mu mówiło, że czas nagli, że wkrótce będzie się coś niedobrego działo. Tak jak przed burzą: niebo niby czyste, słońce ładnie świeci, a powietrze jest gęste, że płuća z trudem oddychają.

Więc mnożą się we wsi weseliska. Przybyło kilka zięciów, parę też synowych. Również spora ilość też ze wsi ubyla. Niespodzianie wyszła za mąż sympatyczna z ryżą czuprynką Ester. Bez skrzypiec, fletu i bębna, cicho, bez hałasu siadła na wóz i wyjechała do Totowicz i tam postawiła cztery kije chupy i określiła się siedem razy wokół swego rozwodnika i bez pożegnania udała się do domu swego męża. Tak było również z dziewczyną z Wyspy. Nie wiadomo kiedy faktor przytarszczył z dziesiątej wsi czarnego, chudego, bez jednego zęba, posuniętego w latach młynarza, któremu przed półrokiem żona wyciągnęła nogi w szpitalu. I szast-prast, jakby się paliło, przygotowywano wyprawę, orodna klacz młynarza krążyła tam i z powrotem i zwoziła wszystko, co było potrzebne dla młodej dziewczyny, co miała wkrótce rozpraszać żałobę i umilać życie staremu młynarzowi. Z takim samym pośpiechem wiejski muzykant odrzepolił kilka walców, polek i parę rytualnych tańców odtączonych z panną młodą. Wypito kilka butelek rozcieńczonej wódki i młoda małżonka skoro świt wyjechała do swego młynarza, który będzie ją maltretował do końca jej krótkiego życia.

Wiejszy Żydy jej po trosze zazdrościli i chyba ze dwa miesiące w szabes po kuglu o tym rozprawiano. Co tu dużo gadać, dziewczyna jak każda, może trochę nawet gorsza. Czarne to było po urodzeniu jak Cyganiątko, aż jej matka się wstydziła ją ludziom pokazać, żeby nie pomysleli, że jej mąż jak raz w tym czasie był na froncie rosyjsko-japońskim w Mandżurii, a tabor cygański stał w pobliżu, tuż koło jej domu. I jak na złość to małe, chude i czarne jak Cyganiątko, niechciane dziecko rosło i ciągle ryczało bez racji, że aż bębni ki w uszach pękały. Nieraz lte w bezradnej złości załamywała

ręce, wołając żarliwie: Boże! zabierz do siebie to twoje przekleństwo, wywoł mnie Boże miłosierny z tych wrzasków, od których szatu dostaję! Lecz pan Bóg lubi zawsze robić na opak czy na złość i zamiast zabrać to wrzaskliwe Cyganiątko, zabrał spokojnego i bardzo udanego Szejlika. A to czarne stworzenie zostało i wyrosło – nie za duże, nie za ładne, ale za to bardzo łagodne, pracowite i tak na swój sposób wyjątkowo przebiegłe, że zdążyło swoich rodziców pozyskać, omotać ich wokół swego małego palca. Nawet ci sami ludzie, co poprzednio kiwali na widok dziewczynki głowami, stawali ją obecnie za wzór, że posłuszna, że pokorna, że nigdy by swym rodzicom krzywdy nie zrobiła. Lecz po prawdzie kto tam wie? Gdyby jej się trafił jaki szjegec, kto tam wie? Lubiać czarnymi oczkami pogłaskać przystojnego mieszczanina i pozwalała mu dotknąć swoje smagłe ramię. Często też brała kilka gałganów i biegła do rzeki niby je prać jak raz w tym czasie, kiedy nad podziw dorodny Kiszkojed, jak go przezywały, gnał swoje woły do wodopaju. Wtedy ta kruczwołosa, podobna do Cyganki, żydowska córka z gałganami i on, ten Szajgec z batem, szli obok siebie i żywo rozmawiali. Lecz to były jej sprawy, do których żywego ducha by nie dopuściła i nikt by się również nie domyślał, co roi się pod tą czarną jak smoła, falistą czupryną.

Lecz jakoś imię tej posłusznej, bogobojnej córki nie znalazło się na biurku amerykańskiego filantropa i nie wysłał jej tych upragnionych kilkuset dolarów posagu. Jej matka lamentowała, kłęta tego filantropa najsroźszymi klątwami, żeby cholera, dżuma i wszystkie plagi egipskie go nie ominęły. I to nie tylko na tego podłego bogacza, co o jej dziecku zapomniał, ale i na całą podłą Amerykę kłęta.

I oto w tym czasie, gdy żadnej nadziei znikąd nie było, zjawilo się szczęście – w białym prochowcu i kapeluszu na tysej głowie, jak Mesjasz. Lecz to nie był wcale Mesjasz, tylko młynarz, któremu przed półrokiem umarła żona. Powiedział, że posiada parowy młyn, dwa domy i zamierza wybudować fabrykę, która będzie produkowała tekstylia dla całej guberni. Do tego posiada mnóstwo pieniędzy, brakuje mu tylko kobiecego oka co by doglądało służbę i troje sierotek, co zostały bez matki.

Czy mógł ktoś wobec takich zdarzeń zwracać uwagę na to, co piszą gazety lub na złe plotki, co bezustannie krążą?! Skoro nasz litościwy Bóg nie opuszcza maluczkich, skoro takiemu krezusowi umarła żona po to, by ten świeżo owdowiwały młynarz ożenił się z ich nic nie znaczącą córką?!

Tylko owdowiata Sosia po Srułu rozprawiała długo z wielką zawiścią:

– Patrzenie, patrzcie, jaki niesprawiedliwy los pan Bóg mi zgotował! Gdy moja sliczna, mądra Esterka, mając spory posag wyszła za mąż za biedaka, to ta czarna wrona, ten strach na wróble, ten nie wyrosnięty kurdupel będzie magnatką ze służbą z fajetonem niby jaka wojewodzina.

Rzeczywiście, nawet rodzice tej nowo zaślubionej młynarzowej byli zaskoczeni. Nie mogło im przejść przez głowę, że ich córka bez złamanego grosza, bez przywoitej sukieneczyny zrobiła taką partię. Kogo lta, jej matka, nie spotkała, opowiadała, jaka to wielka zmiana zaszła w jej domu, jakby różdżka czarodziejka wszystko odmieniła, nawet sprzęty domowe jakby nabrały blasku, jakby się cieszyły, zwłaszcza wtedy, kiedy młynarza koń w skórzaney uprząży nabijanej guzami, jak hrabiowskimi herbami, podjeżdża pod ganek. Do tego wylizwała na palcach: moja córka, na psa urok, żyje te-

raz jak Rotszyldowa. Jest gospodynią młyna, dużego majątku i traktierni. Do tego duży sad, pola i łąki. Ma też napchany kufer z bielizną, dużo jedwabnych sukien, jest pełna szkatułka z pierścionkami, łańcuchami i inne złote ozdoby, a wszyscy bogacze z całej guberni są jej męża krewniakami. Czy trzeba gubić nadzieję, gdy mamy takiego dobrego opiekuna w niebie?!

O jednym tylko młodej młynarzowej matka nie wspominała: że jej zięć, ten młynarz, jest stary, stary jak spróchniały grzyb, do tego ma charakter wściekłego psa, a w jego domu mieszka wiedźma z piekła rodem, matka jego zmarłej żony, którą w dodatku namiętnie nawet po śmierci młynarz kochał. Nie wspominała, że ta stara wiedźma z piekła rodem pilnuje lepiej niż żandarm tych jedwabii, i tych szkatulek, i wszystkiego, co tylko było w tym straszliwie zapuszczonym, od tygodni nie sprzątanym mieszkaniu.

Ryżego Jankla córka ma też swego rozdownika. Wesele odbyło się ni to po cichu, ni to głośno. Na podwórku koło plotu rostawili chupę. Panna młoda w amerykańskim wolonie, przysłanym przez dobrą ciocię Tojbę, okrążyła siedem razy swego Chaskla. Rozbito z trzaskiem kieliszek, odtączono złotą taniec... I panna młoda zaraz na drugi dzień poszła na piechotę ze swoim Chasklem do własnego domu, kupionego tuż przed ślubem u Sirego, i zabrała się od razu do szycia, a jej mąż siedział obok, przyglądał się swej żonie i pokaszłując głuchym kaszlem myślał o swoich płucach, w których zagnieżdżyła się gruźlica na dobre, do której w najszczerszej rozmowie ze swoją ukochaną narzeczoną wcale się nie przyznał. Tylko faktor, co wziął niezgorszy procent z posagu za faktorstwo, był bardzo szczęśliwy, że udało mu się zlepić jeszcze jeden związek – „oby żyli szczęśliwie sto dwadzieścia lat!”.

W tym czasie, kiedy szły dnie na spotkaniach z „szadchenami” [faktorami], na przygotowaniach weselnych i na kłopotach dnia powszedniego, w których nie brakowało kłótni, zatargów i szeregu innych zmartwień, wiejscy Żydzi całkowicie zapomnieli, że Hitler coraz szerzej otwiera paszczę, coraz głośniej wrzeszczy o tym, że światowe żydostwo zagarnęło wszystkie kapitały, że żydowska plutokracja jest winna, że panuje kryzys i że Niemcom brakuje przestrzeni.

O tych wrzaskliwych przemowach Hitlera rozpiswały się wszystkie gazety, ale kto miał czas lub ochotę je czytać? Po pierwsze – ciężko było wyjąć z kieszeni tych parę groszy, by ten „Hajnt” kupić, po drugie – po co sobie smutkami głowę nabijać, skoro i tak życie jest bardziej gorzkie niż zółć?! Lepiej już kupić „Dem Blofer”, przynajmniej czytając go można się uśmieć do rozpuku. Do tego można jeszcze dodać kilka sprośnych kawałów z własnej improwizacji, wtedy te anegdorki krążą z ust do ust i rozśmieszają ludzi do łez. Czy taki Szmul mógł się zastanawiać nad polityką światową i nad zgrozą, która zawisła nad całym żydostwem, skoro wstawał każdego dnia o świcie, naciągał na swoje zgarbione plecy wyszargany tubuł i szedł od chaty do chaty, by kupić parę funtów żyta, semia, czy gryki lub kilka kur, aby je potem sprzedać dla Symbch z Włodzimierca, z mizernym zyskiem, by jego żona Chaje miała tych kilka groszy na chleb i na naukę dla chłopców? A miał tych synów kilku, a każdy miał otwartą głowę do nauki. Gdyby ich mógł posłać do Lublina do wielkiej Jeszuy, żeby się uczyli w wielkich mędrców, każdy jeden z nich wyrósłby ku chwale bożej na wielkiego mędrca czy myśliciela. Lecz cóż, gdy pan Bóg daje szczerą ręką jedno, nie można żądać drugiego,

trzeba mu dziękować za to i być szczęśliwym, że nie wyrzuci się tych paru złotych, płaconych wiejskiemu mefamedowi [nauczycielowi], że uczy ich trochę czytać i modlić się z modlitewnika i nieco rachunków, by mogli gdy podrosną obliczyć, ile kosztuje parę funtów zboża. A uczą się chłopcy na wysięgi, jeden mądrzejszy od drugiego. Starszy Kalman nie raz i nie dwa zaskoczy mefameda pytaniem, że biedak przez cały dzień obgryza paznokcie, łańcąc głowę nad odpowiedzią, której w żaden sposób nie jest w stanie rozszyfrować. I ten młodszy Szame godnie nosi swoje imię po myślicielu i jego głowa też się nadaje nie tylko do noszenia czapki. Szamełe cały psalm umie wyrecytować na pamięć, a historię Żydów opowiada śpiewająco. Och, gdybym miał pieniądze – mawiał Szmuel – wysłałbym mego Szame do świeckich szkół, niechby był lekarzem, prawnikiem, czy historykiem, niechby był wykształconym człowiekiem! A ten najmłodszy Lejzorek jeszcze do szkoły nie chodzi, a już wszystko słowo w słowo powtarza za starszymi.

Zjątego takimi troskami, czy można było żądać od Szmulika, by się zastanawiał, co dzieje się o krok od polskiej granicy?

Ja Jakow Mojsiejewicz po śmierci swej żony, którą sam nie wiedział, czy kocha, czy nienawidzi, miał czas się nad tym zastanawiać? Była jego żoną, napłodził z nią dzieci, którym trzeba było dać godne utrzymanie ze względu, że się było kupcem, a nie jakimś tam tapersdakiem. Zaprzężony w codziennym kieracie, nie miał kiedy przyglądać się swej Kresi, czy jak siebie nazywała – Raisie, co siedziała beczynnie na obfitym jadłe, składowającym się ze słodkich ciast i tłustego mięsiva dostarczonego wprost z koszernej rzeźni, do której Jakow Mojsiejewicz, jej mąż, dostarczał byłoby rzeźne. Tak się Kresia z tego jadła roztyła, że zbliżył się do niej w czasie nocnych igraszek było trudniej niż wspiąć na wysoką górę. Lecz mimo wszystko była jego towarzyszką życia, przyjacią, dbała o niego, gdy wracał z drogi, witała go serdecznie, obspypywała pocałunkami, nacięrała mu plecy pachnącym balsamem po umyciu, dawała czystą bieliznę, zarządzała domem, chowała dzieci i czytała na głos modlitwy dla wiejskich Żydówek – przynosząc tym samym zaszczyt domowi. Leży teraz Kresia, czy jak kto woli Raisa, w ziemi, a już nie Jakow Mojsiejewicz tylko zwyczajnie Jankiel został wdowcem i rozważa, jakie to było to życie z Kresią: dobre czy złe? Czy był szczęśliwy, czy też nie? Niemniej czuje się bardzo samotny, choć nie ma prawa narzekać, że nie szanują go dzieci. Chwała Bogu, bardzo go szanują.

Średnia córka Roza nie jest już smarkatą dziewczynką. Ma już swoje lata, powinna już kilkanaście lat wstecz mieć męża, dzieci i zarządzać własnym domem. Opiekuje się nim bardzo dobrze, dba żeby mu niczego nie brakowało, ale to go nie cieszy, bo codziennie jego oczy same się ślizgają po głowie córki, szukając siwych włosów. A jaki to smak może tylko wiedzieć ten ojciec, co kocha swoje dzieci. Często nocą wzdycha, gdy przez jego mózg przepływają zdarzenia z jego życia, niby zdjęcia w albumie, lub gdy rozmawia z Bogiem, przekazując mu swoje pretensje, kłócąc się z nim:

– Boże, czemu mnie karzesz tak srogo? Ja, który oddałem ci moje mieszkanie, by nasi wiejscy Żydzi mogli cię w dzień szabasu chwalić, ja, co hojną ręką wspierałem biednych – nie zasłużyłem u ciebie na żadną łaskę?! Bijesz mnie, Boże, i bijesz jak Żydzi Hamana. Zabrałeś mi żonę, zapomniałeś dać

mojej córce męża, siwieje biedaczka, choć ma niezgorszy posag i bardzo ładną wyprawę, a narzeczonego dla niej ze świecą znaleźć nie mogę. Nie pozwolisz chyba, Boże, żebym dla mojej kochanej Róży, która jest taka szlachetna, wyszukał byle jakiego, takiego, jakiego znajdują dla odstraszenia cholery? Nie jest przecie ani ślepa, ani głucha, w jej ciele nie znajdziesz żadnej ułomności. Dlaczego więc zmuszasz ją, by się zestarzała w panieństwie?

Nieraz Jakow Mojsiejewicz, a obecnie wyczejnie Jankiel, nie spał kilka nocy za koleją i prowadził z panem niebios takie przykre rozmowy... Więc cóż go mogły obchodzić szaleńcze przemowy Hitlera? On ich nie słuchał. Nie chciał nic o nich wiedzieć. Miał własnych trosk co niemiara, po co mu jeszcze były troski germańskich Żydów?

Wczoraj przyszedł taki jeden germański Żyd. Mówił, że jest bezdomny, że mieszkał w Berlinie, że Niemcy obrabowali go doszczętnie i wygonili z kraju. Owsem, Roza dała mu kolację, dwa złote na drogę i co można było zrobić więcej? Trudno nawet było z nim się porozumieć, mówił jakimś językiem, że sam diabeł był go nie pojął. Zresztą, czy mało oszustów chodzi po świecie? Codziennie całymi tabunami, z żonami płyną jakby rzeką z dużych miast. Jedni grają na piszczałkach, drudzy krnąrą, a inni robią jeszcze wiele o wiele gorszych rzeczy, o których lepiej nie wspominać. Za wybrane pieniądze kupują trunki i na polach wśród zbóż rozkładają się ze swoimi kobietami i uprawiają nierząd. Ale każdemu kto wyciąga rękę trzeba dać. Tak jest w Piśmie Świętym napisane.

Również i ryzy kowal nie miał czasu się zastanawiać. Z natury małowimny, wiecznie zapracowany, nie miał nawet kiedy się uczciwie pomodlić i zjeść po ludzku śniadania. O czwartej rano, kiedy jeszcze prawie było ciemno, jak wchodził do kuchni, rozpałał ogień pod paleniskiem i dmuchał co sił starym kowalskim miechem, by ogień się szybciej rozpałał, by lemiesz lub obręcz dobrze się rozgrzała i stała się podatna pod młot, by wyszła z jego kuźni nie gorsza od tamtej, w którą wałą młotem młodzi silni kowale z pobliskiej kuźni, aż bębni w uszach pękają od tego dźwięku, co sięga aż tutaj. Do tego zazdrości szarpie za serce, że w tamtej kuźni jest nowoczesny wentylator z diabelską siłą, a tak leciutko kręci się, że wystarczy, by małe dziecko ujęło za korbkę i też by sobie poradziło. W dodatku ta nowoczesna maszyna, ze swoimi trybami i trybikami przyciąga chłopów, którzy dla swojej ciekawości, by ją zobaczyć, przynoszą swoje pługi do remontu.

Jednego razu jego siostra, mieszkająca na drugim końcu wsi, zaszła do kuźni i usiadła na progu. Bardzo zmęczona, zaczęła jęcząc opowiadać, że jej starszy syn Aron chyba zwariował. Tak się przejął tymi niemieckimi Żydami, że budzi się nocą i głośno płacze, że aż ją ciarki po plecach przechodzą. Nie płacze, tylko po prostu wyje jak nie przyrównując pies przed pożarem. A wszystko to przez te przekłete gazety, w których wypisują takie straszne rzeczy. Chyba te cholerne piśmidła padły mu na głowę.

– Wstając z łózka, idę do niego, siadam i proszę, błagam: synku nie przejmuj się, co cię mogą obchodzić takie dalekie sprawy? Po co się zabijasz? Dlaczego bierzesz na swoje barki takie rzeczy, które są dla nas obce? Tłumaczę mu, uspokajam go, jak mogę, a on swoje: że myślimy tylko jak napchać kałdun kartofami, że niedługo mało kto z nas żywym zostanie, że nasze kości będą psy po ulicach rozściagać. On zupełnie zgłupiał! On przemawia tak, jak ten prorok Jeremiasz na zgłiszczach

Jerozolimy. Poradź, bracie, co mam robić z tym chłopcem, który napelniał głowę takimi okropnymi myślami?

– Co mogę ci poradzić, kochana siostrzo? – odpowiedział kowal. – Ja sam mało nie zwariuję. Mam już swoje sześćdziesiąt lat i pracuję w tej kuźni samotnie jak palec. Czasem tylko Muszka, moja córka, pomoże mi wycentrować koło, lecz nawet chłopcy się ze mnie śmieją, że uczyć dziewczynę kowalstwa. Parę lat wstecz, to jeszcze nikt specjalnie na małą dziewczynkę uwagi nie zwracał. Ot, kręci się wokół osi niby dla zabawy. A teraz już wyrosta. Jest już panną na wydaniu i jak to wygląda, żeby się kręciła niby koń w kieracie? I pomyśl, siostrzo: haruję, haruję, nie dojadam, nie dosypiam, do tego uczciwie się nie modłę, bo kiedy mam się modlić, jak stoję tu nad kowadłem od świtu, do nocy? Spójrz, siostrzo, na moje ręce: są przeżarte węglem i żelazem, że w bożnicy wstydę się dotknąć nimi naszą świętą Torę, bo są takie twarde i gruzłowate. Boję się, by pod ich dotykiem nie połamiał się pergamin, nie wykruszyły litery. I jaką korzyść mam z mojej harówki? Uskładałem trochę grosza, trochę nasza dobra siostra przysłała z Ameryki i jakoś wydałem moją Chasię za męża. Myślałem: dzięki Bogu o jedną córkę mniej. Zostało mi jeszcze tych kilka młodszych, ale nasz dobry Bóg i tamtych nie opuści. I co się okazało? Że cały posag mojej córki pójdzie na psi tuszcz, bo jej mały ma dziurawe płuca jak sito. I z mojej całej radości zostało tylko wielkie rozczarowanie i jezioro łez. Do tego jeszcze ogromny żal, że ta najlepsza, najczulsza córka, wkrótce zostanie wdową, wróci z powrotem do mego domu bez grosza przy duszy, bo jej cały uciutany posag rozliwie się na psi tuszcz, na lekarzy i na pogrzeb. A ty Lejo, siostrzo moja najdroższa, przychodzisz do takiego nieszczęsnika jak ja prosić o radę, gdy sam sobie poradzić nie mogę. Dlatego nie chcę słyszeć o żadnym Hitlerze, o żadnych zgłęb wiadomościach krajowych, zagranicznych, ani twoich.

Ociężała Leje wstała z progu. Owinęła się szczerline chustą i odeszła jeszcze bardziej zmęczona usłyszaną od brata nowiną, co wcale nowiną nie była. Przecieć od dawna podejrzewała, że z Chasi mężem jest niedobrze, skoro w czasie spaceru z Chasią sapie jak stary kowalski miech. I ten głuchy kaszelek wydobywający się z płuc jak z pękniętego garnka, i te podbarwione plwocinki dyskretnie wycierane chusteczką, te kropelki potu na czole niby rosa, i te błyszczące oczy, w których widoczna jest gorączka...

Oj, Chasi! Chasi! Co ci po takim mężu, którego od pierwszego dnia po ślubie musisz pielęgnować? Wsadziłaś swoje zdrowe ciało w chore łóżko i jeszcze musiałyś dużo dopłacić do tego kiepskiego interesu.

Oj, Chasi! Chasi! Co ci po takim mężu, którego od pierwszego dnia po ślubie musisz pielęgnować? Wsadziłaś swoje zdrowe ciało w chore łóżko i jeszcze musiałyś dużo dopłacić do tego kiepskiego interesu.

Oj, Chasi! Chasi! Co ci po takim mężu, którego od pierwszego dnia po ślubie musisz pielęgnować? Wsadziłaś swoje zdrowe ciało w chore łóżko i jeszcze musiałyś dużo dopłacić do tego kiepskiego interesu.

Oprócz tego, że umarł Fiszke i jego bratowa Kresie, przez co wiejskie Żydówki utraciły swoją lektorkę, co im tak ładnie czytała psalmy i inne modlitwy, najpiękniejsza panna we wsi, Golde, zaczęła wygadywać, po prostu wypluwać z siebie takie słowa, że aż strach było słuchać. W dodatku ro-

zebrała się i nago zaczęła obnosić swoje grzeszne ciało po ulicy, a szczególnie wtedy, kiedy byli mężczyźni w pobliżu. A gdy próbowano ją ubrać, złapała siekiere i chciała wszystkich zarębać. Cała wieś żydowska zatrzęsa się ze zgrozy. Kto by pomyślał, komu przeszło przez głowę, że taką zdrową, taką piękną – która z dziewcząt we wsi mogła się pochwalić taką figurą i takim ogólnym wyglądem?! – opęta giłguł i wyprawia z nią harce... Gdy biegła przez wieś ubrana w piękną, czerwony w czarne kwiaty suknię, opasana szerokim jedwabnym pasem, niosąc wysoko głowę – kto pomyślałby, że Golde nie idzie na własnych nogach, tylko nieczysta siła ją niesie?!

Mało tego, Gina, wielce udana panna, która kręciła całą wsią, co najpiękniej się ubierała i umiała się po miejsku wyrażać i prowadzić z policjantami dyskusje w obronie wiejskich Żydów, zaszła w ciążę nie mając jeszcze męża, choć Michele smark nie wyłaził z jej domu. Lecz cóż to za narzeczony dla wiejskiej inteligentki, Michele smark, tym bardziej ojciec jej dziecka, skoro jeszcze nawet matczynego mleka ze swych ust nie oblażał i ani odrobiny węża nie ma pod nosem? Czy to możliwe, by ten Michele smark mógł zrobić taki szpas? Nie, to niemożliwe, zgadzają się wszyscy Żydzi we wsi. Ale kto tam może wiedzieć, z kim to Gina się zadawała. Czy to takie trudne, gdy żydowska córka straci poczucie godności?

Oprócz tego Josele z ryżymi włosami jak płomień. Choć był „a am orec” [nie umiał czytać], za to miał bardzo dobre serce. Nigdy nie odmówił nikomu pomocy, pomagał czym mógł swoim bliźnim. Był tak samo, jak królowa Ester, która oczarowała perskiego króla Achaszwera. Pomimo że król Achaszwer modlił się do bożków, a nie do prawdziwego, jedynego Adonai [Boga], Ester nie grzeszyła, gdyż swoją urodą służyła swojemu narodowi, wybawiając go z Hamanowych rąk.

Josele z czerwonymi włosami jak płomień też oczarował piękną wdowę po młynarzu i tym samym stał się współnikiem wdowiego majątku. I cóż dziwnego, że zrobił się światowcem, bywałcem wielkomijskich kabaretów, skoro wdowa nie zamykała przed nim swojej kasy, która nigdy nie była pusta... Mógł więc Josele pozwolić sobie na kupno drogiej francuskiej pachnideli, na giemzowe buty z cholewami lub lekkutkie jak piórko futerko, czy na smoking, w którym wyglądał jak istne ksiąźtątko, co miało otwarte serce na jałmużnę. Broń Boże, Josele nie rzucił groszaków za brakom, tylko pięćciolub dziesięćciolotówki, a czasami nawet dwadzieścia złotych włożył w zębrzącą dłoń, o wiele więcej niż niejeden bogobojny bogacz. W dodatku na Symchas Tojre [radosne święto z okazji zakończenia cyklu czytania Tory] kupował zawsze kilka butelek przedniego wina, by miejscowi Żydzi w tym jednym jednym radosnym dniu w roku popili sobie fest.

Czyż można było mieć do takiego dobroczyńcy pretensję, że zadaje się z wdową po młynarzu, skoro nie zapomniał kim jest, skoro regularnie przychodził do bożnicy na nabożeństwo? I oto grom z jasnego nieba. Przyjechała policja z prokuratorem, obstawili młyn. Wdowę po młynarzu skuto w kajdanki i posadzono na jedną furmankę, skutego Josele z włosami jak płomień na drugą; obok nich uzbrojona po zęby obstawa i powlekła do Równego, do więzienia dla największych przestępców.

We wsi konsternacja, domysły. Czym się wdowa po młynarzu zajmowała? Komunizmem? Po co jej był komunizm, skoro była posiadaczką doskonałe prosperującego interesu i żyła nierzeczy bogata grafinią? Więc Josele z płomiennymi włosami

nie tylko obsługiwał młodą wdowę w łóżku, lecz jeszcze miał jakieś zatrudnienie... Ale jakie?

Tymczasem Josele z płomiennymi włosami wrzucono do celi, w której odsiadawali swoje wyroki najgroźniejsi kryminaliści, do tego różni recydywiści, którym mokra robota służyła jako etykieta „godnej przeszłości”. Właśnie do nich trafiło to chłopiątko o delikatnych rączkach. W dodatku te czerwone jak płomienie kędziory, które stały się z miejsca obiektem, tarczą, do której kuksańcami strzelano bez pudła. No więc ta zabawa długo nie trwała i Josele ze złotymi kędziorami i delikatnymi rączkami nie wytrzymał. Wkrótce umarł i pochowano go tam gdzieś, gdzie przeważnie chowają tych, co umierają w celi. Jego matka, Sosia, z Kołk, dostała zawiadomienie, że taki a taki więzień zmarł i został pochowany na koszt państwa.

Tymczasem we wsi wzdychano i liczone na palcach, ilu to już Żydów ubyto. Niedługo, a nie będzie nawet tych dziesięciu niezbędnych mężczyzn do odprawiania nabożeństwa. Z zalem wspomiano świetlaną przeszłość, kiedy w oknach świeciły się piątkowe świece, kiedy w Purim chodzili po wsi przebierańcy, a w Symchas Tojre pito wino, odwiedzano się po mieszkaniach i wyciągano kugle z pieców. A teraz wszystko upada, wszystko niknie, wszystko zamiera.

Ten umarł, ta zwariowała, tamta urodziła nieślubne dziecko, tamten został zabity w więzieniu, jeszcze ktoś wyjechał na stałe za granicę, a na wsi całkowicie ginie stary obyczaj...

Choć nikt w owym czasie nie poświęcał większej uwagi międzynarodowej polityce i każdy jak mógł odpychał od siebie złe wiadomości, które jednak od czasu do czasu napływały, to mimo wszystko czuło się w powietrzu, że nadchodzi burza.

Ktoregós dnia przyjechał do Jankusia Symche z Włodzimierca i radził mu w sekrecie, by wymienić obiegową walutę na złoto lub dolary. Jak najwięcej złota – podkreślał z naciskiem – a co lepsze czy wartościowsze rzeczy koniecznie w dobrym miejscu zakopać, do tego zrobić duży zapas soli.

– Mówię wam, że sól będzie na wagę złota. Za sól dostaniecie wszystko. Przysięgam – podniósł dwa palce w górę – że za sól reb Jankus wykupisz się nawet od diabła.

Długo siedzieli przy dużym stole i rozmawiali. Syś dotoczyła do nich i przy herbacie zaczęła dogłębnie sondować Symchę, któremu choć niezupełnie, lecz musiała wierzyć. Symche, bądź co bądź, nie był Żydem wiejskim, lecz miasteczkowym, ponadto jeździł często w sprawach handlowych do Równego i do Łodzi, a najważniejsze, że nie był głupi. Syś nie spostrzegła, by kłamał. Skoro twierdzi, że będzie wojna, trzeba mu wierzyć, lecz trudno sobie wyobrazić, jaka ta wojna będzie.

– Więc twierdzisz, reb Symche, że wojna na pewno wybuchnie? To jest już pewne, że tylko pogodzą i że lepsze rzeczy trzeba koniecznie gdzieś schować? – wlepił Jankus swoje małe świdrujące oczka w twarz Symchy.

– Przysięgam wam, reb Jankus – bił się Symche w pierś – jak jestem Symche, że tylko patrzę, jak się zacznie taka siekanina, taka bitwa, że trudno będzie znaleźć jakąś norę, by się w niej schować.

Ja już sobie zrobiłem taki schron w piwnicy, w którym w czasie nalotów będę się mógł ze swoją rodziną przechować. Radzę wam, reb Jankus, też coś takiego zrobić, by w razie czego można było przesiadzić, przeczekać nim samoloty odlecą. Musicie wiedzieć, reb Jankus, że ta wojna nie będzie taka sama jak w czternastym roku. Ta wojna będzie całkiem

inna. Ona nie będzie co prawda ciągnęła się latami, tylko raz, dwa, najwyżej pół roku, nu, może rok, i koniec. Ale za to będzie takie spustoszenie, taki potop, że nie daj Boże! To będzie straszliwy potop, choć pan Bóg dał słowo Noemu, że wieciej świata topił nie będzie, a jednak zaleje go po raz drugi.

– To po twojemu reb Symche i pan Bóg słowa nie dotrzymuje? – wtrąciła Syst, przerywając na chwilę własne myśli, w których się zastanawiała, gdzie by to najlepiej schować najwartościowsze rzeczy.

– Nie twierdzą – pokręcił energicznie głową Symche – że nasz stwórca nie dotrzymuje słowa, ale teraz wymyślili takie wielkie samoloty, które zabierają setki bomb, więc jakże może pan Bóg dotrzymać obietnicy, skoro nie ma takiego wykształcenia jak hitlerowcy. Owszem, pan Bóg się zna na wielu rzeczach, lecz na nowoczesnej inżynierii czy matematyce on się wcale nie zna – wykrzywił Symche usta w smutnym uśmiechu.

– Głupi jesteś, Symche, i twoje wywody są głupie! – krzyknął Jankuś, czerwieniąc się na twarzy ze zdenerwowania. – Pan Bóg wysuszył morze, gdy chciał Żydów wyprowadzić z ziemi egipskiej, z domu niewoli. Gdy zechce, to zniszczy samoloty, a bomby zamiast lecieć do nas, wrócą i zniszczą własne domy. Wszystko, reb Symche, jest w rękach Boga i jemu, tylko jemu trzeba ufać i głęboko w niego wierzyć.

– W każdym razie – rzekł Symche nie zbity z tropu – trzeba się do tych ciężkich chwil dobrze przygotować. Trzeba koniecznie mieć pewną ilość sucharów w plecaku, kłaść ubranie pod głowę i być gotowym do ucieczki. Przysięgam, że to nie

będzie to samo jak w czasie pierwszej wojny światowej, że na froncie trochę popukali, a tu u nas na tyłach jak u pana Boga za piecem: Syst buki piecze, rybę gotuje, Jankuś pędzi samogon, żołnierze przychodzą, kupują, złotymi rubelkami płacą, interes idzie, że lepiej nie trzeba... Teraz będą strzelać z góry, z dołu. Kule armatnie, rozpylacze ognia, bomby, gazy. Taka pięciopudowa bomba nadziana trotylem, dynamitem i czym tam jeszcze, a gdy nie daj Boże spadnie na dach, cały dom się zawali, a w tym miejscu, gdzie stał budynek, zrobi się wielka jama, w której pojawi się woda jak w jeziorze. Z tej wsi, jak jestem Symche, może pozostać wielka kupa gruzów, wystarczy tylko pięć takich bomb, a wszystkie budynki się rozlecą.

– Oj wej, Symche – krzyknęła Syst łapiąc się za głowę. – Skąd się wzięły u ciebie te straszne sny? To wszystko, co powiadasz, Symche, to nic innego, jak zły sen. Gotowa jestem się rozchorować, dostać apopleksję od twego gadania. Powiedz mi, reb Symche, skąd czerpiesz te straszne wiadomości?

– Mówię wam, że to żadne sny – krzyknął Symche zrywając się z miejsca. – To rzeczywistość. Mam oczy otwarte, do tego często rozmawiam ze światłymi ludźmi, słucham, co oni mówią, ponadto czytam prasę i różne książki, które piszą, że po tej drugiej wojnie ludzie rozproszą się po całym świecie, że najbardziej ucierpią Żydzi, bo Hitler – szlag by go trafił! – twierdzi, że Żydzi są wszystkiemu winni. Skoro ten Hitler tak mówi, możemy się spodziewać, że dostaniemy od niego tych siedem egipskich plag.

ZOFIA GRZESIAK



Przed piecem garncarskim w Pawłowie.

Repr. fot. z przewodnika Kazimierza Czernickiego *Chem, przeszłość i pamiątki* (Chem 1936)